

## **Władysław Orkan: O Stanisławie Witkiewiczu**

O Stanisławie Witkiewiczu, z pochyleniem głowy we czci jak przed niewielu polskimi świętymi, powiedzieć trzeba: Oto człowiek wielki. Już nie w rozumieniu jednostronnie wysokiem – jako wielki artysta, pisarz czy architekt – lecz poprostu: wielki człowiek. Wielki budowniczy życia – pisał Władysław Orkan. Przypominamy jego tekst w „Teologii Politycznej co Tydzień”: „Witkiewicz. Projekt: odrodzenie”.

Jak w krynicznej wodzie wysokiego tatrzańskiego stawu odbijają się do szczegółów z wszystkimi załomami i niezmnieszoną żywością barw plastyczne kolosy gór, wraz z niebem upadłem na dno, – tak w przczystym pryzmacie duszy Witkiewicza odbijało się życie narodu w całej pełni swej, z bogactwem światła i cieni, załamując się pod kątem, nigdy niemylnym, jego własnego, przejasnego na rzeczy patrzenia. I jak ów staw wysoki bierze w kąpiel góry, tak on brał życie polskie w siebie – wyczyszczał je duszą własną – i łączył z niebem.

W nim, jak w niewielu najwyższych duchach polskich, świątynił duch narodu. Nie przez zakłęcie natchnienia, lecz przez równie wysoką moc prawości myśli i serca, i czar iście gontynnej prostoty. Bo prostym był ten człowiek wielki we wszystkich postępkach, jak pasterz słonecznych łąk albo któryś z Braci pierwszych świętego Franciszka.

Był też Witkiewicz z zakonu wielkich harmonistów, którzy godzą człowieka z przyrodą. Podobnie jak Ruskin w Anglii. Był ewangelistą jak Tołstoj, tylko szerszym.

Lecz jeśli jakie przyrównanie do znanych nam postaci podpada, któreby najwierniej tłumaczyło właściwość jego duchową, a nawet z formą uzewnętrzniania się onej, to najbliższej prawdy stoi określenie: Sokrates polski.

Tu mimowolnie nasuwa się przeciwstawne porównanie twórczości jego z twórczością Jacka Malczewskiego. Gdy u Malczewskiego, prawie nie widzącego realnego życia dookoła, całe jego wewnętrzne życie wizyjne odbiło się na płótnach – (zebrać wszystkie jego prace: jakie bogactwo!) – to Witkiewicz najchętniej rozpromieniowałby cały na otoczenie. Malczewski życie na sztukę przekłada – Witkiewicz z życia pragnął dzieło sztuki tworzyć. Jeżeli miał się pióra, pendzla lub ołówka, to poto (z niewielkimi odskokami w bezinteresowność artystyczną), by coś w życiu duchowym narodu poprawić lub jako przykład stawić. Te pobudki łączą go z pisarzami-obywatelami Rzeczypospolitej XVI wieku. A talentu wielkiego już sprawa, że te zamiary życiotwórcze przemieniały się w wypowiedzeniu lub wykonaniu głębokim w dzieła sztuki, nierzadko w arcydzieła.

Tak też powstała książka „Krytyka i sztuka”. Trzeba było te płoty zaściankowego estetyzmu, jakimi swojscy ideolodzy odgradzali nieświadomość artystyczną społeczeństwa od Europy, obalić – stąd szereg miażdżących polemicznych artykułów, w myśl sokratycznej zasady: „Rozumuj spokojnie, a dowódź z pasją”. Książka ta, elementarz

estetyczny, narobiwszy zrazu sporo gniewów, przesiąkła w czasie dość krótkim w krew ogółu i więcej sprawiła w dziedzinie uświadczenia artystycznego społeczeństwa, niż niejedna akademja.

Jako zaś przykłady wysokie – monumenty sądu i uczucia – ukazują się monografie: o Matejce, o braciach Gierymskich, o Juljuszu Kossaku i innych.

Obrazów doskonałych dał kilka. Z tych najszerzej znany „Obłok”, inaczej „Wiatr halny”.

Na życie tak duchowo bogate – prac, manifestacyj artystycznych, włączając nawet dzieła tatrzańskie, za mało. Charakterystycznym jest, że Witkiewicz, który tyle projektów budowlanych zrobił w życiu, żadnego prawie podług fachowych wymagań nie wykończył, a budarzom tatrzańskim, ufając zresztą słusznie ich domyślności, żadnego prawie planu w całości nie narysował, dając co najwyżej zasadnicze szczegóły. Nie miał na to cierpliwości. Bowiern, jak się już rzekło, Witkiewicz najchętniej nicby nie „czynił”, lecz chodził między ludźmi, patrzył temi błękitnymi oczami i gwarzył, nauczał i rozpowiadał. Jak Sokrates.

To też, gdy ktoś (czy nie Artur Górski) Akademję platońską w Zakopanem projektował, Witkiewicza jako prowadziciela widziano. A nawet kto wie, czy nie z powodu właśnie Witkiewicza, jego sokratyzmu, myśl ta powstała.

Lecz Witkiewicz do akademji, ni do żadnych wspólnych obrad się nie nadawał. Strzegł się wszelkich komitetów. Lubił chodzić luzem. Był indywidualistą bezkompromisowym, mimo tak wysoce rozwiniętego i

uszlachetnionego w sobie społecznego instynktu. Łączył to razem cudownie.

Obserwatorem był nadzwyczajnym. Patrzał na rzeczy wybystrzonemi oczyma malarza i psychologa-odkrywcy. Człowiek był dlań nietylko przedmiotem artystycznym, lecz i wartością wyznaczalną. Niesłychane też wyniki zdobył jako sprawdzacz. Miał np. przyjaciela Kościelnego. Prowadzi doń Malczewskiego Jacka, ciekaw, co o nim Kościelny powie. Albo: zaprosił do siebie na jedną godzinę hr. Pinińskiego, namiestnika Galicji, i śp. Kazimierza Mokłowskiego, socjalistę. Jako też będą ze sobą gwarzyli. Wiedział, że odnajdą łatwo wspólną platformę – sztukę.

Tak siedząc w Zakopanem, w Ślimakowej izbie na Krupówkach, jak pająk z bajki pod strzechą – gdy przesuwiała się przed nim cała niemal Polska, szli doń jak do proroka ludzie – sprawdzał, obserwował, przezierał z pod swej strzechy całą gamę dusz i charakterów. Uczył siebie i drugih – z księgi, dla niewielu jeno dusz prostych otwartej. Witkiewicz jako wychowawca nie jest dość – a może wcale nawet nie – oceniony. Zwrócę tu uwagę choćby na te przemądre ustępy o hodowli ras i ludzi (w drugim wydaniu „Na przełęcz”) i na studjum o wychowaniu religijnem (w czasopiśmie „Reforma Szkolna”).

Opowiadał cudownie. Inaczej trudno określić. Kto go raz słyszał, nie zapomni. Opowiadania jego, słuchane przed laty – gdy w pracowni rzeźbiarza Nalborczyka, na niskim stołku siedząc, gwarzył: jako to chłopcem będąc, wywieziony z rodzicami na Syberję, z rówieśnikiem swym, śp. Konradem Prószyńskim (Promykiem), oszczędzali cukier i

składali, by się z bogacić, wrócić do Polski i zrobić powstanie; jako to w czasach monachijskich wespół z Chełmońskim głodowali; to o Kurzawie, Gierymskich i innych – są mi jak wczora słyszane.

Mówił, jak pisał. A styl jego – to całe studja: o jasności, plastyce, prostocie, głębokości myśli i wysokości uczuć – cały, doskonały człowiek. Człowiek renesansu, pełny, bez uchybień.

Pozostaje mi jeszcze powiedzieć o stosunku Witkiewicza do Podhala; co Tatry mu dały, i co on dał tej ziemi wysokiej. Cały świat przedziwnych odkryć, a dominujący ton w harmonii jego ducha.

## II.

Kiedy Witkiewicz przybył przed laty z Warszawy do uzdrowiska pod Tatry, zastał Zakopane jeszcze mało zepsute „kulturą”, o charakterze wsi, zabudowanej, jak obecnie Chochołów lub Witów. Zastał Tatry o wiele, niż dziś, groźniejsze w swej skalnej niedostępności, jedynie swym orlim synom lub „jego wielgomożności” panu Chałubińskiemu, gdy w ich pustacie pod jesień wkraczał z wyprawą królewską, swe zazdrośnie ukrywane skarby otwierające. Zastał ów zmierzchający świat tetmajerowskiego skalnego Podhala, ludzi na miarę eposu – owych Zychów, Toporów, Bachledów – i Homera tego zamierającego świata, Sabałę. Zastał wśród tych starych sępów kulturę starą, rodzimą, wytworność obyczaju i form towarzyskich, niespotykaną wśród chłopów nizinnych, żywość umysłu, fantazję. Jako malarza zachwycić go też musiał fizyczny typ rasy, piękny, w stroju obcisłym, malowniczym. W chałupach zastał sprzęty bryzowane, wszystkie

przedmioty użytku celowo i artystycznie wykonane, od stołu do maselniczki. Uderzyła jego oczy architekta chata góralska swoją konstrukcją logiczną, jej rozkład, proporcje, dające możliwości rozwinięcia.

Słowem – zastał świat nowy, odrębny, świat o pełnym i własnym wyrazie. Rozkochała się dusza jego w tym helleńskim, podtatrzańskim świecie – czem dla płuc jego powietrze żywiczne, tem dla umysłu było obcowanie z pierwotną mądrością gazdów – i już odtąd przez ten świat będzie patrzył na rzeczy nawet oddalone, stąd będzie używał porównań i określeń, przeciwstawiając mimowoli siebie i świat ten razem wszystkiemu poza tem. Tu duch jego wrósł, jak ów smrek w szczelinę skalną i poczuł siebie w gruncie.

Z drugiego krańca Polski, ze Żmudzi przybyły, stał się, jak się sam wyrażał, patriotą Podhala; gorliwszym, a już pewnie głębszym, niż wielu urodzonych Podhalan. Niema w tem samookreśleniu, co snobizm mógł zarzucić, nic z separatyzmu lub z parafjańskiej jakiejś wyłączości. Jest oto zobaczenie bogatej w przymioty ciała i umysłu, wyjątkowej rasy, na tle równie wyjątkowo bogatem. – Nie było też u Witkiewicza nic z zarzucanego mu kiedyś sentymentu, odnośnie do górali. Przeciwnie, widział on lepiej od innych wszystkie ciemne i złe strony ich charakteru, zwłaszcza wśród cywilizacją zepsutego młodszego pokolenia; chłostał je i wykazywał, że trudno o dosadniejsze piętnowanie; wierzył jednak, że rasa ta tyle ma bogactwa w sobie i rozwojowych możliwości, iż „zdolną jest wydać z siebie najwyższy typ człowieczeństwa”.

Pierwszą manifestacją zetknięcia się Witkiewicza z przyrodą i ludźmi Tatr, manifestacją zachwytu, która tak głośną stała się w Polsce – gdyż pokazała plastycznie w słowie i ilustracji świat nowy, odrębny – było pierwsze wydanie „Na przełęczy”.

A jeśli chodzi o opis natury – to nie wiem, czy jest gdzie piękniejszy, prawdziwszy i sumienniejszy, niż jego „Zima w Tatrach” (w drugim wydaniu tej książki). Jest tam cały proces, wszystkie niesłychane wydziwy i cuda, jakie wiatr i słońce wyprawiają z podatnym śniegiem; jak rzeźbią, modelują, w jakie stroją go blaski. Witkiewicz-Sokrates miał czas tej zmiennej naturze górskiej przez lata się napatrzeć i przeznał ją do gruntu.

Z przyrodzonych bogactw górala niemało zajęła też twórcę „Na przełęczy” gwara. Nie władał nią swobodnie i nie mógł w niej tworzyć, jak Tetmajer, lecz mając taki wzór, jak słuchany tylekroć Sabała, znał i oceniał jej obrazowość zwięzłą, jej logikę i harmonję klasyczną. Często w swobodnej pogwarce wtrącał góralskie wyrazy i określenia. Dał też w gwarze podhalańskiej przepiękne przekłady niektórych z „Kwiatków św. Franciszka”.

Rozpatrzywszy się w stylu spotkanej chałupy i wnętrza, podjął śmiały plan rozwinięcia tego stylu i doprowadzenia go do wysokiego aryzmu – połączenia nizin z górą – chałupy z pałacem. Co też w mierze niemałej osiągnął, zatknąwszy zwycięsko pazdur na bogatej, wyrosłej z góralskiej chałupy – willi. Jest to czyn prawdziwy, trwały, i nic go w postępie czasu nie umniejszy. Jakakolwiek drogą potoczy się budownictwo na Podhalu, chałupa-willa Witkiewicza, jako pierwsze i

szczęśliwe rozwiązanie problemu tak trudnego, pozostanie. Nie zabudował Podhala, jak pragnął – przyjdą przyszli pionierzy i czyn jego podejmą.

Doświadczenia psychologiczno-artystyczne są treścią jego książki „Z Tatr”. Tylko Witkiewicz mógł tak zespolić, stopić – i nowele, i bajki, i uwagi – w jeden artystyczny kruszec. Książka ta jest odbiciem jego pełni, nieoddzielania człowieka czującego od artysty.

Najważniejszy jednak dokument, mówiący o nim, to: „Po 20 latach”, wstęp do II wydania „Na przełęcz”. Jakże ten wstęp pogłębił książkę, takim aplauzem przed laty witana!

Jest to manifest, który skupił w sobie wszystkie promienie jego myśli i umiłowań. Jest to zrewidowanie po latach dwudziestu stosunku swego do zjawisk tatrzańskiego świata, a zarazem syntetyczne objęcie tego okresu życia ludu góralskiego, na który wybystrzonemi oczyma artysty, sercem wielkiem i umysłem wyostrzonym patrzył. Książka-sąd, książka-zamknięcie. Testament rozumu i serca. Każde zdanie jest ciężkie od stwierdzonej doświadczeniem prawdy. Naprzykład: „Rozwój pojęć nie zwyższy człowieka, jeśli nie idzie w parze z rozwojem uczuć, które gruntują charakter”. Lub: kto chce poznać lud naprawdę „musi potracić wprzód wiele z arystokratycznych i demokratycznych uprzedzeń” itd. itd. Na 140 stronach rozwiniętych jest tyle obrazów i opisów świetnych, tyle mądrych spostrzeżeń i uwag, tyle głębokich zestawień i uogólnień, taka nabrzmiałość i spoistość tętniącej żywą krwią treści – iż na wiele bogatych starczyłaby książek. – Uwagi te powinny być jak tablice nade drzwiami ryte. A zwłaszcza wychowawcy i

ci, co idą między lud, powinni, jak katechizm podręczny, uwagi te przy sobie nosić i jak najczęściej w nie zaglądać, aż do wpojenia ich sobie, jak przykazań.

\*\*\*

Gdym w roku 1913 wiosną odwiedził go w Lovranie, gdzie, przez chorobę fatalną jak na banicję z ukochanego Podhala skazany, od kilku lat przebywał, zastałem go zmienionego bardzo. Gorączka go podgryzła. Oczy – te jasne, błękitne oczy – przygasły. Żywo jednak rozpytywał o sprawy Podhala i cieszył się naszymi, idącymi w przyszłość zamiarami. Wyrażał zadowolenie, że odniesiono się doń o projekt gmachu Muzeum im. Chałubińskiego w Zakopanem. „Nie zabacyli o starym dziadzie” – ironizował. Rysował w przerwach gorączki. Przed oknami – mówił – ma smreczka, który przypomina mu Podhale.

Nie widziałem go już czasu wojny. Lecz wiem, jak żywo reagował uczuciem, myślą na idące, ogromne zdarzenia. Dowodem drukowane wyjątki z „Listów do siostry”.

Widzą te mądre, kochane błękitne oczy – światło przeczystej duszy i dotąd nie mogę uwierzyć, że go już mówiącego słyszał nie będę.

*Władysław Orkan*

# **Wszystkie teksty z Teologii Politycznej Co Tydzień [492]: „Witkiewicz. Projekt: odrodzenie”**

Źródło tekstu:

[https://pl.wikisource.org/wiki/O\\_Stanis%C5%82awie\\_Witkiewiczu](https://pl.wikisource.org/wiki/O_Stanis%C5%82awie_Witkiewiczu)

(Władysław Orkan, *Warta*, Lwów–Warszawa–Kraków 1926, s. 88–97)